Nazywam się Waldemar Różycki.

Zgodnie z tradycją rodzinną przyniosłem sobie drugie imię, czyli Ludomir, co łącznie brzmi

Waldemar Ludomir Różycki. Urodziłem się 7 maja 1958 roku.

Moja rodzina, odkąd sięgamy pamięcią, a nawet prowadziłem na ten temat jakieś skromne

badania, to rodzina robotnicza.

Od połowy przynajmniej dziewiętnastego wieku związana wyłącznie z hutnictwem szkła.

O tak. Każdy z moich przodków był hutnikiem szkła.

Ja byłem pierwszy, który z rodziny się wyrodził. Jeżeli chodzi o tradycje rodzinne,

to do cała rodzina była..., miała wyłącznie lewicowe korzenie.

Dziadek był członkiem PPS-u.

To też ciekawa historia, bo jako lewicowiec..., rewolucja bolszewicka została go na terenie

Rosji i udało mu się uciec stamtąd do Polski, ale tutaj kontynuował działalność lewicową.

Był PPS-owcem. Zmarł w trakcie wojny, osierocił ojca mojego i dwie

córki. Ojciec miał wtedy 13 lat i zgodnie z tradycją rodzinną również był...,

miał takie wybitnie lewicowe skłonności, że tak powiem, od najmłodszych lat.

Ja odziedziczyłem po nich te tendencje i wyrastałem w tym środowisku, wśród takich

poglądów od dzieciństwa.

Jakaś zmiana nastąpiła dopiero, kiedy zacząłem nabierać, że tak powiem, rozumu. W

szkole średniej zetknąłem się z innymi środowiskami i zetknąłem się z harcerstwem.

To również ciekawa rzecz, bo pierwsze takie wątpliwości co do tego, co się dzieje wokół

mnie, właśnie harcerstwo we mnie wzbudziło.

Kontakt z kolegami, którzy wywodzili się z zupełnie innych środowisk, mieli inną

tradycję i to były takie pierwsze momenty, kiedy zacząłem się zastanawiać nad otaczającą

mnie rzeczywistością. Następnie, gdy zacząłem studia, studiowałem prawo na

Uniwersytecie Warszawskim, zdecydowanie nastąpiła zmiana mojego poglądu na świat.

Wtedy zetknąłem się z...,

były to lata 70., koniec lat 70., z rozwijającą się już wtedy działalnością

opozycyjną. Pierwszy raz zetknąłem się z drukowanymi w drugim obiegu wtedy

publikacjami i jakby moje spojrzenie na świat się zupełnie zmieniło.

A taką zdecydowaną cezurą był rok 1980.

Rok 1980.

Rozpoczynający się "karnawał Solidarności", NZS na uczelni, do którego wstąpiłem.

To zupełnie zmieniło i mnie, i pogląd na świat, i drogę życiową.

Z końcem lat..., 1981 roku

nie wiem, czy..., wybuchł strajk studencki, największy strajk studencki związany z

uczelniami w Radomiu, czy o ile mnie pamięć nie myli, już w tej chwili, dokładnie nie

pamiętam. W grudniu, w grudniu 1981 roku strajkowali wszystkie uczelnie i my również

na na naszym wydziale.

Strajk studencki skończył się 30 chyba, tuż przed stanem wojennym na 2 dni chyba.

Także my w trakcie stale strajku studenckiego byliśmy bardzo zradykalizowani, więc dla

nas takie przejście od tego, co się wtedy działo do rzeczywistości stanu wojennego

było dość płynne. Jakby to była taka kontynuacja i z dniem 13 grudnia jakby

weszliśmy płynnie do dalszej takiej działalności

anty, przeciwko rzeczywistości, przeciwko pomysłom i działaniom władz komunistycznych.

Faktycznie, pierwsze nasze działania to były podjęte już 13 grudnia i zaczynaliśmy od

zrywania plakatów informujących o stanie wojennym.

Jak pan wspomina w ogóle sam wybuch stanu wojennego?

Rankiem 13 grudnia odwiedzili mnie koledzy z uczelni i wspólnie doszliśmy do wniosku, że

należy powtórzyć to, co kiedyś Mickiewiczmówił: "Bóg dał wojnę i zaczęło się,

To będzie koniec". A rzeczywistość była jaka była.

W każdym razie, w każdym razie praktycznie od samego początku

zdecydowaliśmy się, mówię o środowisku swoim, to byli ludzie związani z Wydziałem Prawa, a

w większości to koledzy wywodzący się z tej samej miejscowości - z Wołomina. Było nas wtedy

sześciu czy siedmiu, którzy studiowaliśmy na różnych, na różnym poziomie, w różnych

latach, na różnych latach studiów, ale trzymaliśmy się ze sobą. I natychmiast, jak

mówię, zdecydowaliśmy się na to, że musimy coś robić. Jeden z kolegów był związany z

miejscową wołomińską Solidarnością. Jego brat był szefem wtedy komisji oddziałowej i

na jego zlecenie zaczęliśmy z miejsca jakieś tam takie wstępne działania, malowanie na

murach, praktycznie, drugiego czy trzeciego dnia dostarczono nam jakieś ręcznie pisane

ulotki, które rzucaliśmy czy naklejamy na murach. I tak to się zaczęło.

Jednocześnie natychmiast pojechaliśmy na uczelnię. Praktycznie chyba 14 [grudnia],

mimo zakazu poruszania się czy opuszczania miejscowości, udało nam się dojechać na

uczelnię. Uniwersytet był zamknięty wtedy, ale pod bramami uczelni kłębił się tłum

studentów, którzy biegali w różne strony, nie wiedząc dokładnie, co robić, ale wszyscy

mieli chęć do tego, żeby działać. W ten sposób nawet nawiązywały się pierwsze

kontakty. Pamiętam, że takim punktem zbornym dla

studentów, przynajmniej naszego wydziału, była "Harenda, taka knajpa niedaleko

Uniwersytetu, gdzie w piwnicach, przy każdym stoliku siedzieli młodzi ludzie, którzy coś

tam knuli, do czegoś się tam namawiali.

Tak, to tak to się wtedy zaczynało. Nie mieliśmy świadomości, tak prawdę mówiąc, co

się będzie dalej działo. Byliśmy wszyscy nabuzowani adrenaliną, chcieliśmy coś zrobić,

nie bardzo wiedzieliśmy co, no ale tak to się zaczynało powoli, powoli wykluwać. Na

zlecenie wołomińskiej Solidarności przez pierwsze dwa miesiące praktycznie działaliśmy

i to przede wszystkim na terenie Wołomina, robiąc takie różne rzeczy, które można

podciągnąć pod akcje małego sabotażu. Malowanie ulotek, malowanie na murach,

rozklejanie ulotek, rozrzucanie. Natomiast później zaczęły, zaczęły się snuć inne, różne

plany. W moim przypadku takim przełomowym momentem było późną zimą, na przełomie zimy i

wiosny 1982 roku, nawiązanie kontaktu z Jackiem Juzwą poprzez znajomego z uczelni, który

jednocześnie był znajomym Jacka

nawiązaliśmy kontakt. Jacek zaproponował mi, żebym zorganizował taką grupę ludzi, którzy

będą się zajmowali różnymi działaniami na rzecz struktur podziemnej Solidarności,

począwszy od akcji propagandowych, czyli tam ulotkowanie itd.,

skończywszy na innego rodzaju działaniach. Na razie nie mówiliśmy o tym jakie, w każdym

razie wszyscy chcieli robić coś więcej, nie tylko organizować papierową rewolucję, ale

powiedzmy przygotowywać się prawie do zbrojnego powstania. Takie nam myśli chodziły po

głowach. Po rozmowie z Jackiem Juzwą zdecydowaliśmy się z tą grupą

taką, którą ja określam jako grupę wołomińską, że zajmiemy się tym, jednocześnie poprzez

jednego z kolegów z Wydziału Prawa nawiązałem łączność z gromadą

chłopaków znacznie młodszych od nas,

przede wszystkim uczniów szkół średnich, którzy chcieli robić dokładnie to samo co my.

To był wyjątkowo szczęśliwy traf, ponieważ spotkałem człowieka, którego zawsze nazywam

nieoszlifowany brylantem, specjalistą od wszelkiego typu działań konspiracyjnych.

Chodzi mi konkretnie o Marka Gajka, który miał pseudonim "Dratwa"w późniejszym okresie.

Chłopak, który od drugiej połowy lat 70.

włączał się w różnego rodzaju opozycyjne działania, mimo że był bardzo młodym

chłopakiem, był cztery lata ode mnie, jest o cztery lata ode mnie młodszy. Wtedy miał,

kiedy zaczynał, miał 15-16 lat. On potrafił zorganizować bardzo silną, kilkudziesięcioosobową

grupę młodych ludzi, którzy wstąpili,

przystąpili do nas, razem mieliśmy wspólnie działać. Drugim takim człowiekiem,

który stanowił jakby silną, silny element naszej grupy, był z kolei kolega ze studiów

Marek Harasiuk, pseudonim Generał. Człowiek, o którym również legendy do dzisiaj krążą

wszędzie w naszych środowiskach. To z kolei był, jak go nazywam, genialny planista.

Człowiek, który w kontaktach z ludźmi niespecjalnie się sprawdzał, ale był

rzeczywiście geniuszem planowania, organizowania takiego wszelkiego typu

działań. Mając dwa takie brylanty do dyspozycji jak "Generał" i "Dratwa" już nie

zostawało nic innego, jak rozpocząć owocne działania.

Pamiętam pierwszą taką naszą wspólną akcją były na przełomie kwietnia i maja,

właściwie w kwietniu chyba, 1982 roku była wielka akcja sypania ulotek w całej

Warszawie, sypaliśmy kilkadziesiąt tysięcy tych ulotek w różnych punktach miasta, i była

to taka inauguracja. Ale jak mówię, nie wystarczała papierowa rewolucja.

Doszliśmy do wniosku, że musimy się przygotowywać do czegoś, do czegoś więcej.

Stąd wpadliśmy na pomysł, że musimy się zorganizować na wzór

prawie wojska podziemnego. Stąd zrobiliśmy podział całej naszej grupy na terytorialne sekcje.

Było ich pięć albo sześć. W różnym momencie

to różnie się przedstawiało na zasadzie podziału, że tak powiem, administracyjnego,

czyli sekcja praska, sekcja mokotowska, wolska wołomińska i tak dalej, i tak dalej.

Zorganizowaliśmy system łączności, to zajął się tym "Generał", który stworzył taki system

łączności poprzez skrzynki kontaktowe. Wykorzystywaliśmy do tego gromadkę dziewcząt,

która weszła do naszych szeregów, że tak powiem. Żeby się zintegrować bardziej ze

sobą, no bo jak mówię, to różne środowiska, wpadliśmy na pomysł, że wyjedziemy na taki

obóz szkoleniowy. Ja już nie pamiętam nawet, gdzie on się miał odbywać.- W Jastrowie.

A właśnie, właśnie, w Jastrowie.

Pojechaliśmy tam. Byli tam wszyscy szefowie sekcji plus jeszcze kilku ochotników, plus

łączniczki nasze. Tam wpadłem na pomysł...

Wiecie państwo, największym problemem w takiej działalności była kwestia tego, żeby

to działało, żeby wszyscy wykonywali polecenia. W okresie konspiracji, w okresie

drugiej wojny światowej nie było to problemem, bo istniało [Polskie] Państwo Podziemne, gdzie był...,

istniał system przymusu, rozkaz itd. W naszym przypadku tak to nie działało.

Wszyscy byliśmy, że tak powiem, ochotnikami, ja nie mogłem nakazać, prawdę mówiąc, nikomu

nic, bo nie miałem żadnych, że tak powiem, środków przymusu do wyegzekwowania, więc

każdy musiał chcieć robić. I to był pierwszy, najważniejszy problem.

Moim zdaniem trzeba było stworzyć coś takiego, co Francuzi nazywają esprit

de corp [poczucie solidarności]. Wpadłem na pomysł, że my wszyscy musimy być przekonani o swojej, o tym, że jesteśmy

najlepsi, jedyni w swoim rodzaju i przeznaczeni do celów najwyższych.

Wpadłem na pomysł, żeby w trakcie tego wyjazdu zorganizować przysięgę wszystkich.

I coś takiego się odbyło. Wszyscy przysięgaliśmy, że będziemy walczyć do końca z komuną i

aż do momentu, kiedy nie odzyskamy niepodległości.

Z perspektywy czasu jest to, wydaje się troszkę dziecinne, ale, ale prawdę mówiąc

odniosło to efekt.

Do dzisiaj wszyscy chłopcy..., ludzie, którzy byli w mojej grupie, są przekonani o

tym, że my jesteśmy najlepsi, byliśmy najlepsi, robiliśmy to, co potrzeba i nawet

więcej, a byliśmy gotowi jeszcze więcej robić. Jak mowię, przyniosło to, przyniosło to

efekt. To jedna z niewielu grup, która powstała w 1981 roku, dotrwała do 1989 roku, mimo,

mimo tego, że po drodze spotkało nas wiele różnych tragedii nawet.

Tak to można nazwać. Także dotrwali do końca i w jakimś sensie udało nam się robić to, cośmy

zaczęli, co chcieliśmy od samego początku.

Skąd pana pseudonim?

Pseudonim Suchy? Nie wiem. Nie wiem. Tak mi do głowy wpadło. Może na zasadzie

przeciwieństwa. Zawsze miałem tendencję do tycia, więc to tak, ale trudno jest mi

powiedzieć. Nie miało to żadnego to żadnych konotacji, że tak powiem, historycznych,

rodzinnych czy jakichkolwiek.

I rozumiem, że odbywa się obóz szkoleniowy w Jastrowie w sierpniu...

Wcześniej. Obóz

w Jastrowiu był chyba w lecie, w lipcu.

Wydaje mi się, nie pamiętam dokładnie. Umiejscowienie w czasie to nie jestem w

stanie umiejscowić w czasie. Jednocześnie w tym momencie, kiedy byliśmy na tym obozie

powstał pomysł pierwszej większej akcji wychodzącej poza tę codzienność. Chodziło o

osłonę wiecu w Ursusie.

Solidarność w Ursusie planowała zwołać wiec robotniczy.

Mieli protestować przeciwko temu co się dzieje i jednocześnie wszyscy byli pewni, że

przyjedzie ZOMO i będzie chciało rozbić ten wiec.

Więc padł pomysł, że nasza grupa zajmie się osłoną tego tego wiecu.

Rozpoznaliśmy wszelkie możliwe drogi dojazdowe do Ursusa. Wytypowaliśmy dwa

miejsca, którymi ta kolumna ZOMO na pewno przejeżdżała by i jednocześnie miejsca, w

których można by było ich zatrzymać. Nie chodziło o jakiś bezpośredni fizyczny atak na

zomowców, ale o zatrzymanie kolumny na tak długi czas, żeby można było zakończyć

bezpiecznie ten wiec w Ursusie i żeby ludzie, którzy tam byli mogli ewakuować się.

Ja w momencie, kiedy ten obóz trwał przyjechałem do Warszawy, gdzie dopracowywaliśmy

z "Generałem" szczegóły tego..., tej całej akcji.

Później wróciłem do Jastrowia, przyjechaliśmy tu wszyscy do Warszawy i

przygotowaliśmy, przygotowaliśmy, jak mówię, całą, całą akcję. Akcja miała polegać na tym,

że w jednym z miejsc na wiadukcie prowadzącym tam do Ostrowia..., do Ursusa mieliśmy

zatrzymać zomowców rozlewając olej napędowy na

tym wiadukcie, co spowodowałoby zatrzymanie ruchu, spowodowanie zatoru i to, że kolumna

utkwiła, utknęła by i nie mogłaby przejechać. W drugim miejscu druga grupa miała rozrzucić z

kolei kolce, które by porzebijałyby opony i również zatrzymały kolumnę, gdyby ta wybrała

tę drugą drogę.

Teoretycznie akcja cała miała być świetnie zorganizowana od strony logistycznej. Tzn.

zaopatrzenie w sprzęt, że tak powiem, było rzeczywiście dobre, bo mieliśmy olej i

dostarczono nam miotacze gazu łzawiącego. Także nie byliśmy zupełnie tacy bezbronni.

Zorganizowano łączność przy pomocy krótkofalówek. Ta łączność akurat wysiadła,

zupełnie, jak to zwykle bywa w trakcie takich akcji, coś musi się nie udać, ale cała akcja

wyszła. Udało nam się zarówno w jednym, jak i w drugim miejscu zatrzymać tych zomowców na

tak długo, że wiec został zakończony, ewakuowano ludzi i cała sprawa, że tak powiem

zakończyła się sukcesem. Nie da się ukryć, że powodzenie tej pierwszej akcji dodało nam

takiego animuszu, że uwierzyliśmy, że jesteśmy prawie do wszystkiego gotowi i

wszystko zrobimy. Następną taką większą akcją, bo jak mówię, cała ta..., ten okres

działalności dzielił się na okresy od akcji dużej do dużej akcji. Natomiast w

międzyczasie nieustannie robiliśmy to, co tak jak mówię, było naszą codziennością, czyli na

masową skalę sypanie tych ulotek i tym podobne, i tym podobne działania.

O tym praktycznie nie mówimy, no bo to było, jak mówię, codzienność. Każdy z nas robił to

prawie codziennie i każdy z nas miał swoje ulubione miejsca, gdzie sypaliśmy te ulotki,

ale szykowaliśmy się do innych działań, które nam przynosiły o niebo więcej satysfakcji.

Następną taką akcją miała być akcja osłony demonstracji

zwołanych na..., w

sierpniu, 31-go.

No rzeczywiście, sama..., do samej akcji przygotowywaliśmy się

długo i myśleliśmy, że uda nam się powtórzyć sukces z Ursusa,

a rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej, nie da się robić takich rzeczy w mieście, gdzie

te demonstracje jakoś spontanicznie powstają, gdzie w różnych miejscach to się dzieje. Nie

da się tego po prostu zorganizować. Myśmy próbowali robić to w okolicach Starego

Miasta, no ale zaraz się okazało, że tam, gdzie, gdzie myśleliśmy, że demonstracja się

rozpocznie okazało się, że ZOMO i milicja była szybsza i demonstracji nie było, no więc

31-go praktycznie taka, była to taka wędrówka przez Stare Miasto.

Udało nam się sypnąć kolce pod pałacem Mostowskich, gdzie zdaje się kilka

samochodów milicyjnych zatrzymało się na tych kolcach. Później na terenie Starego Miasta,

Mariensztatu, jakieś starcia mieliśmy z zomowcami.

No ale jak mówię, było to taka taka,

taki miszmasz. Trudno to oceniać z perspektywy, perspektywy czasu.

Po 31 sierpnia,

po tych demonstracjach ulicznych okazało się, że mnóstwo ludzi zostało złapanych,

mnóstwo ludzi odpowiadało przed kolegami. Takim miejscem, gdzie najwięcej tego typu

spraw się działo było kolegium

Warszawa-Śródmieście. To był już nasz autorski pomysł.

A właściwie... Kolega pracował,

jeden z kolegów z Wydziału Prawa pracował jako, miał staż jako pisarz w tym kolegium, i

on opowiadał nam o tym, jak się dzieje. I myśmy wpadli na pomysł, że z racji tego, że

oni tam najbardziej się w to angażują, trzeba by było ich jakoś pouczyć o tym, że nie jest

to rzecz, którą można bezkarnie robić.

I wpadliśmy na pomysł, że obrzucimy, wrzucimy do kolegium na Śródmieściu

granaty łzawiące, to, czym milicja częstowała ludzi na ulicach na masową skalę.

Więc mieliśmy taki typowy granat wystrzeliwane przez zomowców.

To nazywało się UGŁ-200. uniwersalny granat łzawiący.

Było to połączenie granatu hukowego z granatem łzawiący. Sama akcja była bardzo

sprawnie zrobiona. Jedna z dziewczyn, które zajmowały się między innymi

rozpoznaniem była kilkakrotnie w tym kolegium, rozpoznała dokładnie sytuację, a samej akcji

dokonało dwóch ludzi, czyli "Dratwa" i "Generał". Po prostu weszli do kolegium, odpalili ten

granat, wrzucili go tam.

Efekt, z tego co opisywał nam kolega pracujący w środku, no był porażający - huk w

zamkniętym pomieszczeniu. Z tych petard odpalonych w granacie plus kłęby gazu

łzawiącego - przyniosły efekt.

Następną taką większą akcją naszą było z kolei na zlecenie,

to było na zlecenie jakichś środowisk aktorskich, które brały udział w bojkocie

radia, telewizji, teatru. W tym czasie jednym czy jedynym właściwym miejscem, gdzie aktorzy

się nie podporządkowali temu bojkotowi, był Teatr Syrena. I ci aktorzy doszli do wniosku,

że z kolei tych kolegów ich należałoby pouczyć, że nie zachowują się tak, jak

powinni. I też zlecono tę sprawę nam.

Myśmy pofatygowali się do tego teatru.

No kilkakrotnie, najpierw rozpoznawaliśmy teren, następnie, następnie udaliśmy się tam.

To było..., wpadłem na pomysł, że to będzie takie zadanie dla szefów wszystkich sekcji

naszych. Więc...siedmiu,

siedmiu albo ośmiu nas, czyli wszyscy szefowie sekcji plus ja i plus "Generał" zjawiliśmy się w tym teatrze

i w trakcie antraktu, czy po antrakcie wrzuciliśmy tam środki cuchnące. Podobno

przyniosło to też jakiś efekt. Na ile, to, to mogą to ocenić ci aktorzy, którzy nam

zalecali tę całą sprawę.

Czyli jak mówię, no ta działalność, tak to w taki sposób przebiegała, chociaż prawdę

mówiąc mnie

najbliższą taką akcją była z kolei akcja w Wołominie.

Każde miasto większe, jak wiecie, a może jak nie wiecie, to miało swój dom partii.

Tak samo było i w Wołominie. Był to pękny budynek w centrum miasta, który

charakteryzował się tym, że na dachu na maszcie takimmiał czerwoną flagę, co szczerze

mówiąc nas bardzo denerwowało i z kolei postanowiliśmy coś z tym zrobić. Któregoś

wieczoru trzech z nas, z kolei z grupy wołołmińskiej, zjawiło się tam.

Kolega wszedł na dach, ściągnął tę czerwoną flagę i w zamian wywiesił flagę Solidarności.

To z kolei konsternację wywołało w Wołominie dość dużą.

Była to sensacja na miarę takiego miasta jak Wołomin.

Jeszcze się dopytam czy te akcje tzw.

zasmarowania to jeszcze pamięta Pan jeszcze jakieś takie warte odnotowania?

Tego typu akcje robiliśmy również wobec ludzi określanych jako kolaboranci, czyli ci,

którzy na terenie zakładów pracy dawali się we znaki swoim kolegom,

donosząc na milicję.

I to również wobec nich stosowaliśmy takie metody. Najczęściej to polegało na tym, że

wstrzykiwać im się przy pomocy strzykawki do mieszkania

taki płyn. W jednej z akcji pamiętam, w niedzielę

było to. Mieszkanie na parterze, gdzie cała rodzina kolaborancka zebrała się przy przy

obiedzie. Natomiast chłopcy nasi zrobili to w ten sposób, że jeden wszedł drugiemu na

plecy i przez otwarte okna rzucił im te smrody na stół w trakcie posiłku.

Tak to wyglądało.

A te takie akcje, które pan mówił, takie między tymi większymi akcjami, takie codzienne, typu

malowanie po murach czy rozrzucanie ulotek, to bywały też one w pewien sposób

niebezpieczne, bądź ich efekty były dla was w jakikolwiek sposób wynikiem późniejszych

represji.

Każda tego typu akcja była niebezpieczna. Za posiadanie ulotki, gazetki itd.,

można było szczególnie w początkowym okresie stanu wojennego iść do więzienia

nawet na kilka lat. Były przykłady, że ktoś został skazany na dziesięć lat za posiadanie

tego typu..., chyba w Gdańsku, za posiadanie tego typu materiałów, więc noszenie nawet tego

było niebezpieczne, rozrzucanie tym bardziej. A czy było to spektakularne? Nie wiem, to

musieli..., oceniali,

nie myśmy to oceniali. Myśmy wykonywali takie rzeczy. Nam przynosiła radość sama praca,

natomiast efekt?

Były efekty, nawet dość spektakularne. To już w trochę późniejszym okresie. Moja grupa np.

malowała napisy na filarach Mostu Gdańskiego.

Była to na tyle niebezpieczna sama akcja, ponieważ spuszczenie się z mostu i wiszenie

na linach przy filarze było niebezpieczne, a poza tym dość spektakularne, bo te napisy

były przez kilka tygodni, czerwoni nie mogli znaleźć kogoś, kto się podejmie tego, że

spuści się na linie i zamaluje, zamaluje te napisy.

Tego typu akcji było rzeczywiście sporo. Już prawdę mówiąc, pamięć nie dopisuje.

Trudno jest spamiętać wszystkie tego typu, tego typu akcje.

A jeszcze były chyba akcje, które były planowane, ale były odwoływane z różnych względów?

Tego typu akcji,

akcji, których..., które nie doszły do skutku, było bardzo dużo. Były to niekiedy pomysły,

no z perspektywy czasu patrząc na to,

niekiedy wywołując gęsią skórkę. Planowaliśmy podpalenie Komitetu Wojewódzkiego Warszawa

Śródmieście, na przykład.

Pomysłów mieliśmy dużo, nie wszystkie dało się zrealizować, ale staraliśmy się.

Jakby pan jeszcze mógł bardziej opisać działanie grup oporu,

taka organizacja wewnętrzna, kontakt między grupami, tutaj też może postać

Teodora Klincewicza

postarać się opisać?

Nie jestem w stanie opisać postaci Teodora Klincewicza, ponieważ nie zetknąłem się z nim

nigdy w życiu. Pierwszy raz to nazwisko wpadło mi do uszu w 1984 roku.

Problem polega na tym, że tak jak większość, jak prawie cała konspiracja, wszystkie te

działania się ze sobą przenikały. Tak jak ktoś, kto się interesuje tym okresem,

zauważy, że jeden np.

zakład pracy mógł być obecny w dziesięciu różnych strukturach konspiracyjnych. Więc

samo pojęcie grupy oporu nie świadczy o tym, że była to jakaś scentralizowana,

zhierarchizowana organizacja. Prawdę mówiąc, ja nigdy nie

uważałem, że moja grupa była częścią grup oporu Solidarni, ponieważ gdy rozpoczynaliśmy

tę działalność wiosną 1982 roku, w rozmowach z Jackiem Juzwą,

Jacek stwierdził, że będziemy grupą specjalną działającą na rzecz jednej ze struktur

podziemnej Solidarności, chodziło konkretnie o Komitet Porozumienia Międzyzakładowego

Solidarność, i uważaliśmy się cały czas za jakby ramię, że tak powiem,

orężne, zbrojne tej właśnie struktury podziemnej. Nie mieliśmy, nie mieliśmy nic

wspólnego..., uważaliśmy, że nie mamy nic wspólnego z grupami oporu Solidarni, co nie

znaczy, że nie, na przykład nie sypialiśmy ulotek sygnowanych przez grupy

oporu Solidarni, ale to wszystko działało na tej zasadzie, że my się nie

zastanawialiśmy nad tym, jakie tu są struktury, gdzie my tkwimy, kto jest szefem,

kto, kto jest podwładnym. To nie tak wyglądało. Po prostu dostawaliśmy konkretne

zadania do wykonania i my je wykonywaliśmy bez,

bez roztrząsania tego, kto tym kieruje.

Dla nas świat był wtedy bardzo prosty. Jak mówił jeden z moich kolegów: ja jestem w

grupie praskiej, mną..., mnie polecenia wydaje "Bartek" - szef grupy praskiej,

"Bartek" dostaje zlecenia od "Suchego", poza "Suchym" jest..., ponad "Suchym"

jest region w postaci Bujaka, a później tylko sam Pan Bóg. Na tej zasadzie to działało. To,

że istniało mnóstwo różnych struktur

prawdę mówiąc, dowiedzieliśmy się o tym, jak otrząsnęła się na początku lat dwutysięcznych

z tego marazmu, w który nas wpędziła rzeczywistość i zaczęliśmy się interesować

ponownie tym, co się działo w latach naszej młodości.

Nie jestem w stanie powiedzieć niczego z pierwszej ręki o KLincewiczu, a to, co,

czego się dowiedziałem później, to jest rzecz, którą wiem z trzeciej ręki i nie

chciałbym na ten temat nic mówić.

Także tak to wyglądało wtedy.

Jakieś kontakty jeszcze właśnie z innymi członkami,

jak w ogóle wyglądał kontakt chociażby właśnie z panem Jackiem Juzwą, albo tak, jak

pan wspomniał, czy były kontakty bezpośrednie ze Zbigniewem Bujakiem?

Nie, nie, to jest taki ciąg myślenia nas w tym momencie.

Natomiast co do kontaktów z Jackiem, to były to kontakty, że tak powiem, ściśle

konspiracyjne. Mieliśmy kontakt poprzez łączników na tej zasadzie i kontaktowałem się

z nim ja. Również w takich spotkaniach często uczestniczyli szefowie sekcji, bo na terenie

Warszawy mieliśmy prawdę mówiąc jedno podstawowe miejsce, gdzie się spotkaliśmy,

spotykaliśmy, to był nasz taki lokal kontaktowy. Właścicielką tego lokalu była

pani świętej pamięci Jadwiga Kryńska, moja znajoma z Wołomina, która mieszkała w

Warszawie, i która w momencie, kiedy zaproponowałem jej współpracę z nami

zgodziła się natychmiast. Z różnych względów, jej brat został internowany, więc chciała

zrobić wszystko, żeby uwolnić,

pomścić, trudno to określić słowami. W każdym razie zaangażowała się w naszą działalność bardzo.

Szczerze mówiąc, do dzisiaj pozostaje dla nas taką najjaśniejszą postacią w tych, z

tych ciemnych czasów, dla wszystkich tych, którzy się z nią zetknęli w 1982 roku, a

byli to wszyscy szefowie sekcji z tych..., mojej grupy. Do dzisiaj dla nas jest, jak mówię,

najbardziej taką znaczącą postacią w naszej historii tych lat, nie tylko przez to, że

przez ten cały rok, a w tym czasie ten rok..., czas inaczej przebiega w takich momentach,

inaczej dzisiaj. I przez swoją śmierć i okoliczności związane z tym

pozostała, pozostaje w naszej pamięci cały czas.

Może Pan opowiedzieć tę historię pani Jadwigi Kryńskiej?

Jak mówiłem, pani Jadwiga..., zaproponowałem jej współpracę z nami,

zgodziła się, udzieliła nam tego mieszkania do naszej dyspozycji i przez te miesiące całe

prawie nam matkowała. Spotykaliśmy się u niej, mnóstwo odpraw,

lokal służył też jako miejsce składowania różnych materiałów. I z końcem

roku 1982 nastąpiła katastrofa, czyli nastąpiła wsypa jednej z sekcji.

Do dzisiaj, tak na dobrą sprawę cała ta kwestia nie jest do końca wyjaśniona. Mamy

różne przypuszczenia. Prawdopodobnie był to zupełny przypadek, że sekcja wpadła, jakiś

konflikt sąsiedzki.

Jeden z sąsiadów szefa sekcji wezwał dzielnicowego, dzielnicowy wszedł do

mieszkania kolegi i nagle natknął się na takie rzeczy, które kolega przechowywał w

mieszkaniu, że nie wiedział, co z tym zrobić i natychmiast wezwał służbę bezpieczeństwa.

Nastąpiła wsypa tej sekcji jakby tak po sznurku esbecja doszła do mieszkania

pani Jadzi.

Zaaresztowali..., zatrzymali ją, przeczuwając, że wpadli na coś, o czym nie mieli pojęcia, a

jednocześnie mogło być dla nich bardzo groźne. Panią Jadzię przetrzymywali w Pałacu

Mostowskich 48 godzin, ale 48 godzin

dla pani Jadzi, to, co ona przeszła wtedy, było czymś tak koszmarnym, że jedna z jej

znajomych, która widziała ją na dzień przed zatrzymaniem i w dwa dni po, czy w dzień po

zatrzymaniu, powiedziała, że spotkała się z kimś zupełnie, zupełnie innym. Została pani

Jadzia poddana potwornemu naciskowi psychicznemu,

przede wszystkim. Ne chodzi o to, żeby ktoś tam ją fizycznie maltretował, nie. Pani Jadzia

miała córkę i miała ukochaną wnuczkę, za którą

świata nie widziała, więc ubecy zabrali się od tej strony do niej twierdząc, że wnuczka już

jest w domu dziecka.

Matkę, córkę pani Jadzi, aresztowali i na pewno nie wypuszczą, więc dziecko zostanie w

tym domu dziecka, pójdzie do jakiejś adopcji i nigdy jej nie znajdzie. Posunęli się

jeszcze do czegoś, zmontowali fotografię.

Pani Jadzia korzystała z łaźni,

fotografowali ją tam i wmontowali zdjęcie, gdzie wmontowali obok niej sylwetkę jej

zięcia, pokazując jej później ten fotomontaż,

mówiąc, że przedstawią to córce, pokażą, w ten sposób rozbiją jej jakieś stosunki rodzinne.

Mimo tego pani Jadzia nie zdradziła nikogo, niczego. Nic od niej się

na temat naszej działalności nie dowiedzieli. Wypuścili ją po czterdziestu ośmiu godzinach

na wabia, mając nadzieję, że się z kimś tam skontaktuje. Pani Jadzia

przyjechała do Wołomina, zostawiła informacje u wspólnych znajomych o tym, co się działo.

Następnie, ona była pielęgniarką z zawodu, więc poprzez swoje znajomości udało jej się

do wołyńskiego szpitala dostać, i tutaj następuje...,

następują fakty, o których tak na dobrą sprawę już na 100% niczego nie możemy

powiedzieć. Drugiego dnia pobytu w szpitalu,

jedni twierdzą, że wypadła sama przez okno, inni twierdzą, że ktoś w tym jej pomógł,

w każdym razie znaleziono ją pod oknem szpitala w Wołominie. Nieżywą.

Także tak wyglądała historia pani Jadwigi,

oczywiście do dzisiaj sprawa jest niewyjaśniona.

Próbowano nawet w latach 90.

prowadzić jakieś dochodzenia na ten temat, ale jak wszystkie sprawy związane z

tajemniczymi śmieciami w okresie stanu wojennego nikt nie był zainteresowany tak

naprawdę wykryciem, czy wyjaśnieniem tego, co się działo.

I pewnie sprawa już któraś tam z kolei jest umorzona, nikt się tego nie podejmuje. Jak

mówię, jak w większości tego typu sprawach związanych ze stanem wojennym. W każdym razie

to nastąpiło 3 stycznia 1983 r.

Dokładnie tego dnia, kiedy mnie aresztowano zresztą.

Pana aresztowanie też w pewnym sensie było dramatyczne. To w jaki sposób pan...

Było. Każde tego typu zdarzenie jest dramatyczne, traumatyczne. Pamiętam, wracałem do domu

3 stycznia wieczorem późnym. Mieszkałem w starej kamienicy

na drugim piętrze, z rodzicami, wchodziło się do takiego małego korytarzyka, gdzie były

drzwi do trzech różnych mieszkań. Oczywiście

ciemno było wszędzie. Taki był zwyczaj w tym naszym domu, że światła raczej się nie

świeciły na klatkach schodowych.

Wszedłem do tego małego korytarzyka i nagle poczułem coś, co mnie dotknęło do głowy.

Okazało się, że był to czekający na mnie. ubek, który profilaktycznie przyłożył mi

pistolet do głowy. Wrzucono mnie do mieszkania, gdzie była gromadka ubeków wraz z

resztą mojej rodziny, zakuli mnie. I tak to wyglądało.

Zawieziono mnie później do Pałacu Mostowskich. Pierwsze przesłuchanie około dwudziestu

godzin trwało.

To są relacje, co to można nazwać torturami

to, co pan przeszedł...

Nie, wie pan, to różnie można określać takie rzeczy. Szczerze mówiąc, ja niespecjalnie

miło wracam do tych czasów.

Torturami można nazwać to, co spotkało "Rudego" w Alei Szucha.

To, co nas spotykało na, w Pałacu Mostowskich jest nieporównywalne, więc określenie tego

jako tortury jest jakimś, dla mnie przynajmniej, nadużyciem.

Oni naprawdę mieli różne metody, różne sposoby, niekoniecznie związane z tym, że

walili człowieka po głowie.

Tak. Także, jak mówię, od 3

stycznia do 5 sierpnia

1983 r. przebywałem,

jak to się wtedy mówiło, na urlopie, najpierw w Pałacu Mostowskich, później na

Rakowieckiej w areszcie śledczym.

Tam też pan się dowiedział między innymi o śmierci pani Janiny...

O śmierci pani Kryńskiej dowiedziałem się jeszcze w Pałacu Mostowskich. Był to jeden z

elementów takiego nacisku psychicznego, kiedy pamiętam, drugiego dnia przesłuchań,

przesłuchujący mnie ubek rzucił na stół zdjęcie pani Jadwigi z sekcji zwłok, gdzie

leżała na stole, tak jak to na sekcji wygląda z wyciętymi, takimi cięciami na ciele, mówiąc:

"Zobacz, do czegoś doprowadził...". Także tak to wyglądało wtedy.

Do sierpnia byłem w Pałacu Mostowskich, później na amnestia,

o ile mnie pamięć nie myli, związana z wizytą papieża. Jak pan wspomina,

wspomina te miesiące w celi?

Ten czas... To też można podzielić na dwa okresy.

Pierwszy to czas, kiedy byłem w Pałacu Mostowskich, kiedy zostałem aresztowany i

kiedy ubecy za wszelką cenę usiłowali wyciągnąć wszelkie możliwe

informacje ode mnie. Te pierwsze dni to praktycznie zlewają się w jeden jakby...

Trudno nawet określić co w jakim momencie. Przesłuchanie trwające dwadzieścia godzin jest dość

długim i wyczerpującym przesłuchaniem, nawet jak człowieka nie biją po głowie. Następne

trwało niewiele mniej. I tak to było. Zresztą same okoliczności. Wiecie panowie...

Najgorszym dla mnie w tym momencie, wtedy rzeczą było patrzenie na tych uboli i

zastanawianie się, kiedy oni stracą nad sobą panowanie. Ich było sześciu czy ośmiu.

Zmieniali się parami. W momencie, kiedy dwójka wychodziła, szła do sąsiedniego pokoju, gdzie

pili wódkę. Wracając do mnie byli już coraz bardziej pijani i prawdę mówiąc nie wiem, czy

to był sposób, czy to po prostu sobie umilali w ten sposób czas. Zastanawianie się, kiedy

to spowoduje, że stracą nad sobą panowanie i różne rzeczy się mogą dziać w takim momencie,

było traumatyczne. Zresztą świadomość w tym momencie, świadomość taka, że człowiek jest

sam a wobec niego, a przeciwko niemu jest cały świat, jest strasznie dołująca. Człowiek

ma takie dwie, dwie myśli w głowie.

Raz, żeby stamtąd wyjść w miarę cało, a dwa,

szczerze mówiąc, to najbardziej człowieka na nogach trzymało przy zdrowych zmysłach, że

jak wyjdzie, to jeszcze będzie musiał kolegom spojrzeć w twarz. Więc jak mówię, takie...

między tymi dwoma skrajnościami trzeba było w jakiś sposób się obracać. W każdym razie

skończyło się tak, że po moim aresztowaniu nikt więcej nie został aresztowany

w grupie. Jeszcze "Generał" musiał uciekać. Znaczy zaczął się ukrywać. Natomiast cała

grupa ocalała i dzięki genialnemu działaniu Marka Gajka w

dwa miesiące po naszej wpadce już zaczęli, zaczęli na nowo działalność.

Jeszcze wracając dotego, pana więzienia w celi między innymi z panem Adamem Borowskim...

O tak, to już zupełnie inny moment, kiedy nas wywieziono z Pałacu Mostowskich do, do, na

Rakowiecką. Tam już człowiek przebywał w swoim środowisku, bo w Pałacu Mostowskich,

bo w celi siedziało się przede wszystkim z kryminalistami. Pamiętam,

dla mnie też takim traumatycznym przeżyciem było, to była głośna sprawa w tym czasie,

koniec grudnia 1982 roku, że zamordowano taksówkarza gdzieś pod Warszawą.

Ja akurat miałem takiego pecha, że obok mnie na tej pryczy spał ten morderca, który

zamordował tego taksówkarza. Więc to w takim, że tak powiem, środowisku człowiek w Pałacu

Mostowskich przebywał. W momencie, kiedy na Rakowiecką przewieźli mnie, no to już byłem

na oddziale, gdzie byli praktycznie sami więźniowie polityczni plus więźniowie

gospodarczy. No ale to wiadomo było, że to jest taka domieszka, która ma nas śledzić.

Natomiast było się już wśród swoich, m.in. tam przebywałem z Adamem Borowskim, przez trzy

miesiące siedzieliśmy we dwóch tylko w jednej celi. Śmialiśmy się, że lepiej znamy

siebie niż swoje żony, tylko że Adam był wtedy tylko żonaty, ja jeszcze nie, no ale to tak

to wyglądało. Tam się zetknąłem też, co akurat z dzisiejszej perspektywy jest dla

mnie takie znaczące,

z Piotrem Rzewuskim. Dokładnie 3 sierpnia, na dwa dni przed wyjściem z

aresztu, przez...,

razem nas wsadzono do jednej celi. To był pierwszy raz, kiedy się z "Nordykiem" spotkałem.

Tak zmieniając trochę, rozszerzając całą tę wypowiedź, ostatni raz się widzieliśmy z

Piotrem też na Rakowieckiej 12 grudnia ubiegłego roku.

Ostatni raz się widzieliśmy.

Że jakby się koło zamknęło.

To tam jeszcze była taka...., zdarzenie podczas więzienia na Rakowieckiej związane z

"gadałą" [akcja głośnikowa], która była dla panów przygotowana.

W maju, o ile mnie pamięć nie myli, był to maj albo czerwiec,

nie pamiętam dla mnie te daty...

Maj, 1 maja...

Właśnie. Dla mnie te daty są takie trudne do ustalenia.

Zaczęło się... Usłyszeliśmy sygnał Radia Solidarności przez blindę [płytę maskującą kratę więzienną].

Byliśmy bardzo skonsternowani, nie wiedzieliśmy..., nie słychać było tekstu, nie

było słychać niczego więcej poza samym samym sygnałem Radia Solidarność.

I wtedy zaczęło się. Wiedzieliśmy, że coś się stało. Nie wiedzieliśmy jeszcze co, bo cały

pawilon zaczął huczeć. Jak mówię, my dokładnie nie zorientowaliśmy się. Byłem

wtedy z Adamem, nie dokładnie zorientowaliśmy się co, wiedzieliśmy, że coś, a dopiero

później dowiedziałem się, że była to audycja zrobiona specjalnie dla mnie, gdzie, w której

brali udział moi chłopcy, dwóch czy trzech nawet z nich brało udział w ustawieniu tej

"gadały" tam na jednym z budynków pod więzieniem.

Także z perspektywy czasu to też takie

już miłe wspomnienia.

Jeśli mógłby pan opowiedzieć, właśnie czym była taka "gadała",

na czym to polegało?

Nie jestem fanem, nie chcę wchodzić, czy opowiadać o rzeczach, których, na których się

nie znam. Kwestia "gadał"

to już jest późniejszy okres czasu. To jest już 1983, 1984 rok. Ja już w tym

bezpośrednio nie brałem, nie brałem udziału. Robili to ludzie z mojej, z mojej grupy.

Natomiast ja bezpośrednio już w tym nie uczestniczyłem, jakby od strony technicznej.

Znam to z opowiadań na pewno. Na pewno będzie ktoś, kto kto będzie świadkiem z pierwszej

ręki. Mnie jest trudno, trudno cokolwiek na ten temat powiedzieć.

Lepiej się znam na sypanie ulotek "na Malboro" niż na "gadałach".

I dochodzi do amnestii. Coś, co się dzieje dalej?

Po wyjściu z Rakowieckiej na mocy amnestii

wróciłem do domu i nastąpił taki okres dochodzenia do siebie, do przyzwyczajenia się

do do wolności, po prostu, do bycia na powietrzu. Trwało to jakiś czas.

Nawiązaliśmy ponownie kontakt między sobą z moją grupą poprzez Marka Gajka, ale było

jasne, że do takiej działalności nie mogę już wrócić bezpośrednio. Przynajmniej dla mnie

było jasne, że nie mogę, chociaż dla mnie jednym z takich najbardziej miłych i

sympatycznych momentów

było to jak Marek, gdy się pierwszy raz spotkaliśmy powiedział: "Nic się nie zmieniło,

nadal nadal jesteś szefem i nadal będziemy robili to, co będziesz uważał za stosowne".

Ale ja uważałem, że to już nie jest droga dla mnie, bo będę dla nich jakimś tam

zagrożeniem. Od tego czasu kontaktowaliśmy się ze sobą cały czas, ale to już na zasadzie

takich, że tak powiem, kontaktów, na zasadzie rad, pomysłów i tak dalej.

Bezpośrednio w dalszą działalność grup, to już za to odpowiadał i tym się zajmował

Marek. Po tym, jak Marka..., mówię o Marku Gajku "Dratwie". Jak on został

wzięty, że tak powiem, do wojska, po nim grupą zaczął kierować Paweł.

Z kolei ten doprowadził tę grupę aż do 1989 roku i na skutek tego, że "Dratwa" rozpoznał

to, że kontakt z grupami oporu jest infiltrowany przez bezpiekę, to znaczy po

prostu wyczuł agenta bezpieki,

chodzi o niejakiego Kotarskiego[vel] Pekalskiego, postanowił zerwać tę

współpracę z grupami oporu i oni przeszli do "Armenii".

A "Armenia" to zupełnie już inna para kaloszy. To była jedna z najbardziej zakonspirowanych

warszawskich grup, która pracowała bezpośrednio dla Radia Solidarność i regionu

ówczesnego Mazowsze. To też znam to wszystko z drugiej ręki, więc na pewno ktoś, kto

bezpośrednio w tym uczestniczył, będzie w stanie lepiej opowiedzieć. Natomiast ja

skupiłem się na działalności na terenie mojego miasta.

W Wołominie w roku 1983, 1984 wyglądało to tak jak wszędzie, czy prawie wszędzie w Polsce.

Te struktury związkowe czy opozycyjne zaczęły się rozpadać.

Marazm ogarniał większość ludzi.

Wszyscy po tym okresie takiej erupcji energii w 1982 i jeszcze w 1983 roku doszli do wniosku, że już nie da

się wiele zrobić i nie da się nic zmienić. Natomiast..., i tak samo wyglądało wyglądało w

Wołominie. Ja nie potrafiłem jakoś tak spokojnie siedzieć.

A że nasze środowisko, w tym Wołominie, m.in.

koledzy, którzy wcześniej ze mną uczestniczyli w różnych pracach w ramach tej

naszej grupy specjalnej, też jakoś nie potrafili, więc postanowiliśmy coś z tym

zmienić, coś tutaj zrobić.

Jednym z ludzi, z którym najbliżej współpracowałem, był kolega z Wydziału Prawa

Julek Kowalski.

Wspólnie pracowaliśmy. Nie wiedzieliśmy, co robić. On kończył studia, ja natomiast,

prawdę mówiąc, doszedłem do wniosku, że te studia jakoś były moją pomyłką życiową.

Niespecjalnie..., się śmieję dzisiaj, że miałem dylemat zostać prawnikiem czy uczciwym

człowiekiem. Byłem za młody, żeby dobrze wybrać, więc wybrałem to drugie. Nie wiem,

jakbym dzisiaj postąpił, no ale tak to wtedy wybrałem, więc praktycznie zrezygnowałem ze

studiów. Ale już abstrahując od tego, Julek też nie bardzo chciał robić

taką karierę typowo prawniczą,

rozpoczęliśmy..., postanowiliśmy jakoś zapewnić sobie przyszłość i wpadliśmy na pomysł, że

będziemy prowadzili magiel, magiel polegający na prasowaniu czyjejś bielizny, w piwnicach,

notabene jednego z bloków w osiedlu, jednym z osiedli wołomińskich. No i to takie

symptomatyczne - podziemny magiel i wokół tego się całe podziemie miejscowe zaczęło

skupiać. Po takich długich dywagacjach doszliśmy do wniosku, bo prasując ludzką

bieliznę mieliśmy dużo czasu na myślenie i na rozmowy, doszliśmy do wniosku, że w

Wołominie, w naszych okolicach istnieje kilka takich grupek, które jeszcze jakoś tam

próbują coś robić w poszczególnych zakładach pracy, tylko nie ma jakoś czegoś, co by ich

ze sobą łączyło.

Więc doszliśmy do wniosku, że przydałoby się zorganizowanie czy utworzenie takiego

miejscowego lokalnego pisemka podziemnego. I stąd powstał pomysł stworzenia "Kuriera

Wołomińskiego". Tak to nazwaliśmy. Ale oczywiście sporo problemów technicznych

mieliśmy z tym, bo humaniści od strony technicznej jakoś słabo było, ale okazało

się, że w takim mieście jak Wołomin można zrobić wszystko. Okazało się, że i drukarnie

tam w Wołominie działają i mają się dobrze. Można robić skład, no wszystko można.

Doszliśmy do wniosku, że powinniśmy się zajmować nie tyle wielką polityką na skalę

ogólnokrajową, ale będzie nas łączyło, czy całe środowisko będą bardziej łączyły takie

typowo miejscowe sprawy, które wszyscy zamiatają gdzie tylko mogą, pod dywan, a my

będziemy na zasadzie opozycji wyciągali je na zewnątrz. No i tak zaczęliśmy wydawać ten

"Kurier Wołomiński". Było to dość duże na skalę lokalną wydarzenie.

I następnym krokiem, jaki nam pozostał, to było stworzenie takiej grupy, kierownictwa

tego wszystkiego, co przetrwało. Okazało się, że struktury związkowe przetrwały w różnym, w

różnej formie, w kilku zakładach pracy, dzisiaj już oczywiście nie istniejących, ale

wtedy dość dużych zakładach, np. Zakładach Stolarki Budowlanej w Wołominie. Tutaj

kolega, który tym się zajmował wpadł na genialny pomysł, że Solidarność Podziemna

opanuje oficjalne struktury samorządu zakładowego i praktycznie cała Solidarność

Podziemna była jednocześnie samorządem oficjalnym, zakładowym.

To jest, wiecie panowie, to jest fenomen.

Nie wiem czy tylko Wołomina, że jest to małe miasto, wszyscy ludzie, którzy na różnym

poziomie, w różnych rzeczach byli aktywni, są sobie znani. Więc tak prawdę mówiąc wszyscy

wiedzą, czy prawie wszystko o sobie. Nie sądzę, żeby

miejscowa bezpieka, bo mieliśmy oczywiście też miejscową bezpiekę, nie była świadoma

tego, co się dzieje.

Na dodatek ujawniliśmy się, prawda? Wydawaliśmy pismo, sygnowaliśy, ale to się

udawało, to jakoś funkcjonowało. Nie wiem, czy to na tej zasadzie, że z lenistwa, że

bezpieka nie chciała się..., robić jakieś afery, bo miała za dużo pracy, czy jak to tam

wyglądało. Więc ta nasza działalność była w miarę prosta.

Udawało nam się to. Powołaliśmy na zasadzie takich...., łączenia tych struktur związkowych

Tymczasową Komisję Oddziałową Solidarności w Wołominie.

Obejmowała ona szereg zakładów, gdzie te struktury związkowe przetrwały i próbowaliśmy

tworzyć, odbudowywać takie struktury w innych zakładach, a poza tym próbowaliśmy włączyć do

różnych działań, że tak powiem, społeczeństwo miejscowe. Różne mieliśmy pomysły. Pamiętam,

rozpoczęliśmy akcję wysyłania do władz miasta setek kartek pocztowych z żądaniem

załatwianie jakiś takich bolączek typowych, miejscowych. Było to, było to zdarzenie...,

nie wiem, czy ktoś wpadł na ten pomysł jeszcze. gdy naczelnik miasta, czy dostaje

jednocześnie 300, 500 jednobrzmiące kart pocztowych, żądających na

przykład sprawiedliwego przydzielania mieszkań komunalnych chociażby, ewentualnie

innych tego typu spraw. No i tak na tej zasadzie działaliśmy.

Trwało to, trwało to lat praktycznie do 1989 roku.

Ściągnęliśmy mnóstwo ludzi do Wołomina. Przyjeżdżał do Wołomina Heniek Wujec,

przyjeżdżali artyści, przyjeżdżali..., Bujak już odwiedzał nas chyba dwa razy

w końcu lat 80-tych.

Zdaje się, że Wołomin był wtedy jedną z bardziej prężnie działających takich struktur

podziemnych na naszym,

na Mazowszu. Stąd dużą popularnością się cieszyliśmy. I tak to trwało do końca lat

80-tych, do momentu, kiedy zaczęło się to w kraju na tyle zmieniać, że wszyscy byli

świadomi, że coś się tutaj zmieni. I wtedy zaczęły się już normalne, że tak powiem,

walki o władzę nawet na poziomie miejscowym.

Po 1989 roku rozwiązaliśmy tajną Tymczasową Komisję Oddziałową.

Powstała już nowa Solidarność, a to już jest nowa zupełnie historia.

Ja już nie miałem z tym nic wspólnego, notabene nigdy nie byłem członkiem

Solidarności, tylko właśnie przewodniczyłem tej komisji oddziałowej, bo widocznie nie miał

kto przewodniczyć.

No ale to, jak mówię, w 1989 roku się skończyło i to już zupełnie inna bajka się zaczęła.

Tylko się dopytam, czy wówczas, wracając troszeczkę jeszcze do tych,

tego okresu z Warszawy,

czy w tamtych latach osiemdziesiątych docierały do pana właśnie te informacje, jeżeli

chodzi o pana Mariana Pękalskiego [vel] Kotarskiego? Ten wątek się wtedy już

pojawiał?

W 1982 roku

informacje o różnych agentach rodziły się, były dość głośne,

natomiast z Kotarskim - Pękalskim ja się osobiście też nie zetknąłem. Całą postać, o

tej postaci usłyszałem dopiero w 1989, na przełomie 1983 i 1984 roku, w momencie,

kiedy już wyszedłem z aresztu, kiedy moją grupą kierował Marek Gajek "Dratwa" i on

miał kontakt właśnie z tym Pękalskim, który nosił wtedy pseudonim Tadeusz. "Dratwie" polecono,

żeby kontakt z grupami czy właściwie z tymi strukturami, które nadawały różne

prace nam i tak dalej, okazało się później, że były to właśnie Grupy Oporu Solidarni, będzie

utrzymywany przez Kotarskiego.

Jak mówię, znam to z drugiej ręki, bo Marek się ze mną, ze mną wielokrotnie na ten temat

rozmawiał i radził się tego, co w takim wypadku ma robić. Jak mówiłem, "Dratwa" był takim

brylantem konspiracyjnym, więc miał niesamowite wyczucie co do różnych spraw, i

po drugim, trzecim spotkaniu z Kotarskim przyjechał do mnie i mówi, że coś jest tu nie

tak, że ten człowiek jest, jak to wtedy mówiliśmy lewy, wyraźnie, że coś za nim się

ciągnie, jakiś, jak to mówił "Dratwa" - smród. I opowiadał o tym, jak się zachowywał, w jakich

miejscach się spotykali, jak to przebiegało. Więc jedyne, co mogłem poradzić, to mówię

stary, zerwij ten kontakt i albo zażądaj tego, żeby go usunęli zupełnie na bok i dali

ci kogoś innego, albo poszukaj innego kontaktu w innym miejscu z innymi

strukturami. I tak to Marek miał zamiar zrobić.

Z tym, że to już jak mówię, na to patrzyłem,

Marek miał zostać powołany do wojska.

Z perspektywy czasu jestem praktycznie pewny, zresztą koledzy również, że całą tę sprawę,

całą, wszystkim tym kierował właśnie Kotarski. Marek został powołany do Pułtuska, do

jakiegoś tam - 1 Dywizja Zmechanizowana to się nazywało,

miał zostać artylerzystą, i po okresie rekrutacji w kajdankach został wywieziony

stamtąd do Bartoszyc.

W Bartoszycach była, była taka specjalna jednostka wojskowa, gdzie kumulowano,

ściągano tam wyjątkowo podpadniętych, że tak powiem, z różnych przyczyn ludzi z wojska i

Marek został tam skierowany. Wiecie panowie, ja na to patrzyłem na własne oczy.

Nie wiedziałem, że człowiek może się tak zmienić. To było coś podobnego do tego, co

opowiadali mi o pani Jadzi, że zmieniła się w ciągu kilku dni

spędzając ten czas, że tak eufeministycznie powiem, na Rakowieckiej. Marka widziałem

przed..., zresztą byłem u niego na przysiędze wojskowej w Pułtusku, a później w pół roku

chyba później, czy w sześć miesięcy, czy w osiem miesięcy, udało mu się przyjechać z

tych Bartoszyc do domu na chwilę.

I wtedy mieliśmy ze sobą kontakt. To był zupełnie inny człowiek. W Bartoszycach

mówił o tym tak, że jak prałem skarpetki, to musiałem się dookoła siebie rozglądać, czy

ktoś za mną nie stoi, czy ktoś mnie nie obserwuje, czy coś się nie będzie złego

działo. Był to zupełnie inny człowiek. Tak psychicznie usiłowano go złamać.

I jak mówię, jesteśmy przekonani o tym całkowicie, że ten pobyt w Bartoszycach

załatwił mu Pękalski,

dlatego, żeby odsunąć Marka od grup, bo Marek zdecydowanie nie zgadzał się na kontakt

z Pękalskim i Pękalski uważał, że jak Marka odsunie to, będzie nadal miał kontakt z

grupami, z naszą grupą, co w zamierzeniu później - nie wiem,

no ale nie straci tego kontaktu. Natomiast udało się to przerwać i jak mówię, cała grupa

przeszła do "Armenii" i ocalała. Natomiast zapłacił za to, zapłacił za to "Dratwa".

A i cena była straszna

prawdę mówiąc.

Panie Waldemarze, na zakończenie może coś takiego właśnie z tamtych czasów jako wówczas

młodym, był Pan młodym mężczyzną, czy coś takiego zapadło może w pamięci jakieś

zdarzenia, klimat tych lat 80-tych, coś co może byłoby warto powiedzieć o takiej nawet

też i postawie tego środowiska, które pan powiedział, że to było dość radykalne i

odważne? Czy coś takiego jeszcze przychodzi do głowy, co warto byłoby pewną klamrą tutaj

zamknąć?

Wiecie panowie, to jest trudna rzecz, bo tak

się zastanawiałem wczoraj nad tym, o czym możemy rozmawiać,

to akurat przychodziło mi do głowy mnóstwo innych rzeczy niż to, co, o czym tutaj

mówiliśmy.

Może warto

to powiedzieć?

E tam, to nie jest tak, bo opowiadanie o tym, co my czuliśmy z perspektywy czterdziestu lat, jest

praktycznie niemożliwe. Dzisiaj patrzę na to, na mnóstwo spraw zupełnie inaczej. Ten młody

człowiek jest kimś,

szczerze mówiąc..., naprawdę momentami trudno jest mi uwierzyć, że to akurat na pewno byłem

ja i robiłem,

mówiłem takie rzeczy, działałem w ten sposób, to z perspektywy czasu nie da się.

A co do co do środowiska, co do tego, jaka była atmosfera? Nie da się ukryć, byliśmy

pewnym zamkniętym środowiskiem, mimo że każdy z nas wywodził się skądinąd. Byli młodzi

ludzie ze szkół średnich, byli studenci, jakaś grupa już robotników, jedna grupa

to byli już zdecydowanie starsi ludzie z obowiązkami rodzinnymi.

Ale, jak mówię..., wszystkich tutaj...

Myśmy jednak byli taką zamkniętą grupą, gdzie w swoim środowisku żyliśmy zupełnie czymś

innym niż, jakbyśmy się wyłączali z tego świata, który nas otaczał i...

Nie wiem. Zastanawiam się momentami, czy nie byliśmy materiałem na zawodowych

rewolucjonistów. To akurat okropna rzecz jest. Zawodowi tacy rewolucjoniści. Ale, ale

coś z tego było, że jak to mówił jeden z młodych kolegów, za co dostawał od nas po

głowie często, że świat się dzieli na bojowników i męczenników. My jesteśmy

bojownikami, tymi wybranymi, a reszta to męczennicy, którzy mogą się męczyć, byle

byśmy my mogli tutaj walczyć.

I mówię, coś takiego w tym było, oczywiście próbowaliśmy to oficjalnie przynajmniej

tępić, ale w każdym z nas tkwiło w głębi duszy, że my jesteśmy od tego, żeby walczyć

i walka jest naszą..., jedynym naszym celem, powołaniem i tak dalej. Dzięki Bogu udało się

tego uniknąć. Ale, ale, ale tkwiło to w każdym...